

## Wspomnienia z syberyjskiej tułaczki

Wołkowysk - moje rodzinne miasto już w pierwszych dniach września 1939 r. opuścił macierzysty 3 Pułk Strzelców Konnych, udając się na front. Brat mój, oficer tego pułku został delegowany do innego miasta do prac mobilizacyjnych. Wiadomości z frontu i od brata dochodziły skąpo. Na wschodnich rubieżach miasta panowało duże poruszenie - przybywało wielu uciekinierów z Warszawy, kopano rowy i przygotowywano schrony. Młodzież pomagała przy likwidacji Gimnazjum im. St. Batorego, przeznaczanego na szpital. Ja i moje koleżanki z gimnazjum pracowałyśmy w Przysposobieniu Wojskowym Kobiet, pełniłyśmy dyżury na stacji kolejowej, gdzie czynny był duży bufet dla wojska z licznymi transportami kolejowymi. Nadszedł dzień - dokładnej daty nie pamiętam - gdy nasza komendantka oznajmiła, że rozwiązuje naszą działalność w związku z czym mundury należy zdjąć i schować - wojna się kończy. To było szokujące. Z radia docierały wiadomości, w które trudno było uwierzyć. Nocą słuchaliśmy Londynu, wielu sąsiadów przychodziło domas, wiadomości zaskakujące - złe.

Pewnego dnia około południa usłyszeliśmy jakiś hałas, łoskot. Mama poleciła nam wyjść na ulicę i zobaczyć co się dzieje. Ulicami miasta jechało dużo czołgów m. in. zatrzymując się przed przejazdem kolejowym. Tam z jednego czołgu wyszedł żołnierz z czerwoną gwiazdą na czapie, powiedział do nas: " zdrastwujcie Palaki - my Ruski ". Nas dosłownie wymiotło - z tą wydawałoby się nieprawdopodobną wiadomością pobiegliśmy do domu. Mama była głęboko zatroskana i zaniepokojona. Zaczął się ciężki nieprzyjazny dla nas okres. Miasto zamarło pod wpływem licznych aresztowań, rewizji. W grudniu zaczęła się deportacja rodzin

wojskowych, funkcjonariuszy policji, inteligencji. Czekaliśmy, kto następny.

Ostry głos dzwonka przerwał nocną ciszę. Mama zapaliła światło, budząc nas - to chyba po nas - powiedziała. Poszła otworzyć drzwi. Była godzina 4 - ta rano. Do pokoju weszło trzech uzbrojonych funkcjonariuszy NKWD i jeden cywil. Sprawdzili listę i nakazali w ciągu pół godziny spakować się. Mama usiłowała przekonać ich i prosić, że to jakaś pomyłka, że syna nie ma - nie wrócił z wojny. Na nic to wszystko się zdało. Powstało duże zamieszanie. Ja i moje dwie młodsze siostry pakowaliśmy nasze rzeczy chaotycznie bez składu i ładu. Mama była bardziej skoncentrowana, zapytała dokąd mamy jechać - "w drugą stronę" brzmiała mglista odpowiedź. Pakowanie odbywało się przy ciągłym poganianiu. Jeden z NKWD - stów szepnął mi - zabierajcie wszystko, jedzenie przede wszystkim. Za chwilę wpadła do naszego domu ciocia mieszkająca w sąsiedztwie - pozwolono jej pomóc przy pakowaniu. Byłam przerażona jak ogromny kufer i worki zapełniły się całym dobytkiem, a było tego sporo. Trwało to wszystko niecałą godzinę. Wyszliśmy z domu z wielką rozpaczą i płaczem - dokąd los nas zawiedzie trzy bezbronne kobiety. Pożegnanie z ciocią, wujem i kuzynem. Ciężarówka stała przed bramą, szybko nas załadowano i ruszyliśmy wzdłuż ulicy w kierunku stacji kolejowej, by za chwilę zatrzymać się przed domem sąsiadów p. Makarewicz. Tam doładowano rzeczy rodziny Makarewiczów i trzy osoby w tym stara około siedemdziesięcioletnia babcia. Dziwiłam się, dlaczego ją zabierają, przecież mogła pozostać u córki na miejscu. Ciężarówka załadowana ruszyła w dalszą drogę na stację kolejową pod rampę towarową, gdzie stał długi ciąg wagonów towarowych. Załadunek do wagonu trwał krótko. Wagon był wyposażony w drzwi rozsuwane, górne półki po lewej



i prawej stronie, dwa okna zakratowane oraz w podłodze wycięcie kwadratowe osłonięte drewnianą obudową (ubikacja). Zaczęliśmy układać nasze rzeczy. Zajęliśmy górną półkę, miejsce przy oknie. Mama była kompletnie załamana. Ulokowałyśmy się jako tako, a p. Makarewiczowie zajęli miejsce po przeciwległej stronie. Za chwilę nasi "opiekunowie" z NKWD doładowali następne dwie rodziny: starsza pani z dwiema córkami, jedna mężatka z małym dzieckiem na ręku, dziewczyna w moim wieku ( 16 lat ) i chłopak 12 - letni. Ostatnią rodziną byli p. Andrzejewscy z córką, wujkiem i synem. Jeszcze raz sprawdzono listę, przeliczono nas, zasunięto ciężkie drzwi wagonu i zostaliśmy sami. Był to dzień 22 czerwca 1941 roku. Wstał piękny bardzo ciepły poranek letni. Spojrzałam przez okno zakratowane na zielone drzewa, łąkę - jakiś ogromny żal ścisnął mi serce - co teraz będzie z nami? Co nas czeka?

Dowożenie ludzi trwało nieprzerwanie, coraz to podjeżdżały ciężarówki. Przez małe okienko wagonu niewiele można zobaczyć. Płacz i nawoływanie ludzi, ostre głosy NKWD - ystów : "bystryj bystrij ". Wieść o wywozie bardzo szybko rozeszła się po mieście. Dużo ludzi przyszło z jedzeniem i napojami - szukano znajomych, krewnych. Niestety - podawanie czegokolwiek było bardzo utrudnione - nie otwierano wagonów, starano się jakoś podawać przez okienko przy pomocy sznurka. Ludzi przybyłych z miasta było bardzo dużo - żołnierze, pilnujący transportu odpędzali ten tłum. Transport był bardzo duży. Słysząc wzajemne nawoływania, płacz, wydawanie jakiś poleceń, prośby. Nie pamiętam, jak to długo trwało. Usłyszeliśmy gwizd lokomotywy - lekkie szarpnięcie, żołnierze zamykali okienka wagonów - zapanował mrok, pociąg ruszył. Rozległ się przejmujący śpiew "Serdeczna Matko, opiekunko ludzi ..." - wyruszyliśmy w nieznane.